ZIPORA NAHIR

ur. 1930; Hrubieszów

Miejsce i czas wydarzeń	Budzyń, II wojna światowa
Słowa kluczowe	II wojna światowa, okupacja niemiecka, Żydzi, obóz pracy w Budzyniu, warunki w obozie, praca w obozie

Obóz pracy w Budzyniu

Budzyń to nie był obóz koncentracyjny, ale obóz pracy. Bo tam niedaleko były zakłady Heinkla i tam wyrabiano pewne części amunicji. A ponieważ myśmy byli tylko grupą młodych ludzi i duża część wykształconych ludzi, więc zabrali nas tam. Ja nie biorę odpowiedzialności za to, że tak było naprawdę, ale ja myślę, że tak było, bo z ciągu opowiadań to tak wynika, bo zabrali nas do Budzynia, ustawili nas tam i zaczęli wypytywać co każdy robił. I ci, którzy skończyli powiedzmy gimnazjum, albo zajmowali się czymś technicznym, jak kreślarstwo czy co innego, albo byli rzemieślnikami, to ustawili w jedną stronę. A innych ustawili z drugiej strony. I ja nie wiem co z drugą stroną zrobili. To było mało. Ale zdaje się, że nie było specjalnej selekcji, to znaczy, że była część, która została wywieziona na zagładę. Tylko była część, która poszła do tych biur czy warsztatów Heinkla. I była mała część taka, na przykład moja mama i ja, którzy poszliśmy pracować w kuchni czy w pralni. To znaczy ja nawet, która wtedy miałam dwanaście, trzynaście lat, już uchodziłam za dorosłego pracownika. I to było bardzo ważne, bo gdybym była uważana za dziecko, to by już mnie nie było.

Ja pamiętam, że w Budzyniu, to były baraki, dla kobiet osobno. Tam były prycze czteropiętrowe, trzypiętrowe. Na każdej pryczy były trzy czy cztery osoby. To byłyśmy mama, ja, siostra i jeszcze jedna kobieta z naszego miasteczka, spałyśmy na tej pryczy. To było bardzo pomocne. Rano były oczywiście apele. Wstawało się gdzieś o czwartej i chodziło się do pracy. Ja myślę, że chodziliśmy do pracy co dzień mniej więcej dwa kilometry. Piechotą oczywiście. Poganiani przez Ukraińców, bo ja wiem, że oni nosili czarne mundury i mieli psy. I oni przez cały czas poganiali nas i żądali od nas, od starców przeważnie, od ludzi, śpiewać takie sprośne piosenki. Nie wiem czy to było ubliżające, bo myśmy się już czuli, już wiedzieliśmy, że jesteśmy… Wie pan, jak się jest w obozie, moim uczuciem, może nie wtedy dokładnie, ale później było tak, bo jak się było w gecie, to jeszcze była jakaś indywidualna nie chęć, ale może wiara, że może jak mam pieniądze, może jak mam środki, może jakoś się wydostanę, ktoś

mnie ochroni, zostanę przy życiu. Jak się było w obozie i im mocniejszy, taki bardziej rygorystyczny był ten obóz, to czułeś się niejako. Wiedziałeś, że nic ci już nie pomoże. Nie ma dokąd uciec, nie ma co planować. Można się tylko poddać losowi tak jak jest. Nie ma co robić. Tak że człowiekowi, w pewnym sensie, było nawet lżej, nie łatwiej. Bo myśmy wszyscy mówili, to były czasem takie miłe marzenia, jak wieczorem przed spaniem było chwilę czasu i siedziałyśmy na podłodze, i się mówiło: „No dobrze, przecież nie zostaniemy przy życiu". To było zrozumiałe, że Niemcy nas… żeby zatrzeć ślady, nikt nas nie zostawi. Ale marzyło się, a jak to będzie jeżeli przeżyjemy, to przecież jak będziemy się zachowywali, przecież w ogóle nie będziemy ludźmi… Różne takie to były mrzonki, tak jak ja się bawiłam z lalkami. Tak sobie pomarzyć trochę. Ale dzień był bardzo, bardzo długi, bo wracało się pod wieczór dopiero do domu. Ja pracowałam w kuchni i byłam tak jak wszyscy inni. Ale pamiętam, że ja chyba do końca obozu nosiłam buty z takimi kamieniami w środku. Mniej więcej pięć centymetrów, żeby być troszkę wyższa. Jak się wychodziło na apele, to już moje znajome wiedziały, jak jest jakaś grudka czy jakaś mała nierówność, że ja mam stać troszkę wyżej. Koło mnie stały kobiety, które nie były wysokie. Moja mama i moja siostra były wysokie. Żeby nie było wielkiej różnicy. W ten sposób mnie chroniły. Bo ja byłam tak mała i wyglądałam naprawdę jak dziecko, a co dzień były selekcje. Bo myśmy przyjechali do dużego lagru. Tam było kilka tysięcy osób. I to już miało swoją famę bardzo ostro trzymanego obozu, Budzyń. I co dzień były selekcje. I co dzień ludzie byli wyciągani. Myśmy byli tylko małą grupą, ale to nie miało znaczenia. Wyciągali z obozu ludzi na mord… I zdarzyło się tu i tam, jednak jakaś sposobność dla kogoś, żeby uciec. I ja myślę, że te nieliczne wypadki wszystkie zostały ukrócone. Złapali ich, przywieźli z powrotem do obozu, postawili wszystkich, powiesili ich za nogi i wszyscy patrzeliśmy na to.
Gdzieś z końcem czterdziestego trzeciego roku przeprowadzili nas, to znaczy nie przeprowadzili, właściwie został ten sam obóz, ale przyjął, jakby to powiedzieć, inną szatę. Bo nas ubrano w pasiaki i w drewniane buty i myśmy byli od tego czasu concentration camp. To znaczy lager koncentracyjny. Wpierw byliśmy lagier jakby roboczy. To było to samo. Ja nie wiem czy Heinkel wyszedł i przyszedł ktoś inny, ale była pewna zmiana i rygor stał się o wiele ostrzejszy. I muszę powiedzieć, że ja, że myśmy głodowali. I pracowało się właściwie… wstawało się o czwartej, wychodziło się o piątej. Wracało się gdzieś o szóstej wieczorem. W sobotę się pracowało jak zwykle. W niedzielę się pracowało dwie godziny mniej. I tak przechodził czas. Ja widocznie… Ja, jako dziecko, byłam bardzo mała, słabowita i chorowałam. I tutaj nagle stałam się nie silniejsza, ale mocniejsza. Nie wiem jak to powiedzieć. Nie fizycznie, ale nie chorowałam. Przeszłam wszystkie mrozy, wszystkie śniegi i marsze co dzień dwa kilometry tam, dwa kilometry z powrotem, calusieńki tydzień. I potem dali nam właśnie pasiaki. W czasie jednej z takich kąpieli, bo mieliśmy co dwa tygodnie kąpiel z dezynfekcją, ja miałam warkocze, ścięto mi warkocze. Ale nie na łyso, nie… I tak się żyło. Z tym, że zdaje mi się, że Ukraińcy zamienili się na

gestapowców, czy na żandarmerię. Bo ja pamiętam o wiele więcej Niemców właśnie z tego drugiego okresu. I ja pracowałam w kuchni, wtedy sobie wyrobiłam taką technikę obierania kartofli, bo każda musiała obrać trzy wiadra kartofli. Te kartofle były malusieńkie. No a ja byłam taka wychuchana dziewczynka i taka słaba. Ja nie umiałam obierać. I te noże, pamiętam, były takie tępe. I ja sobie wtedy wykształciłam taką technikę – brałam kartofel i nasadzałam na koniec tego noża i obracałam i obierałam. A ponieważ to było cięższe, to to wnikało w ten kartofel głębiej i szybciej się obierało. Tak że udawało mi się co dzień skończyć te trzy wiadra. Bo inaczej dostawało się chłostę. A chłosta była bardzo, bardzo… To znaczy ona była zabijająca. Dostawało się dwadzieścia czy dwadzieścia pięć chłost. Taka jak ja nie mogła tego przejść. I z tym właśnie chcę opowiedzieć o pewnym takim incydencie, że ja próbowałam jeden raz i nie udało mi się, schować dwa kartofle do kieszeni pasiaka. Kartofel jeden i kartofel drugi. Ja pracowałam przy kartoflach, to to nie było ciężkie. Myślałam, może mi się uda. I ja tak szłam, nie wiem, widziałam żandarma, gestapowca i jak pomacałam tam te moje kieszenie, to on mnie zawołał: „Chodź tutaj. Co ty masz w kieszeniach?”. To już nie miałam rady. Wyjęłam te dwa kartofle. I on tak patrzy na mnie z góry, no i mówi: „No to chodź”. No to mi było zupełnie zrozumiałe, że to jest koniec, bo ja tych chłost nie przeżyję. No i dwa kartofle to oczywiście to jest taki corpus delicti [łac. przedmiot przestępstwa, dowód rzeczowy świadczący o przestępstwie], ukradłam. I poszliśmy z powrotem do tych stert kartofli i on powiedział: „Wyrzuć je z powrotem”. Wyrzuciłam z powrotem, stoję i czekam. I on tak patrzy… Mówi: „Wróć na miejsce”. Tak że dlatego ja zostałam uratowana, między innymi.

Ja nie wiem, inni może wiedzieli, może nie wiedzieli, w każdym razie moje bliskie koło ludzi nie mówiło ani o Stalingradzie, ani o… Mówiło się coś ogólnie, że widocznie Niemcy zaczynają tracić i ponosić klęski… Ale ja nie pamiętam nic szczególnego. Gdzieś z końcem kwietnia zdaje się, może to już był nawet początek maja, zaczęły się jakieś plotki, że niby to mają nas przenieść z tego Budzynia gdzieś indziej. Zaczęto mówić o tym, że nas przeniosą znowu. To był duży obóz. Że znowu zrobią ogólną selekcję. I tak zrobili, że część idzie do Płaszowa, koło Krakowa, a ci inni pójdą widocznie na Majdanek. Ja nie powiedziałam wpierw, nie wiem czy to jest takie ważne, ale myśmy byli cały czas rodziną. To znaczy ojciec, matka, siostra i ja. Jak byliśmy jeszcze w gecie, był pewien okres, kiedy ojciec chciał mnie uratować. Ponieważ byłam mała i byłam dzieckiem, i logicznie więcej możliwości pozostania przy życiu było dla młodych ludzi, nie staruszków, nie chorych, i nie dzieci. Więc w pewnym etapie chcieli mnie przekazać jakiejś rodzinie polskiej. I ten człowiek, który miał pośredniczyć, Polak, miał mnie przewieźć do tych ludzi. Oczywiście za wielką zapłatą, to ja pamiętam. To mówili później, że ja ważyłam tyle ile to złoto, które tato zapłacił. I miał mnie przewieźć gdzieś w czasie Bożego Narodzenia, w nocy. Bo wtedy dużo kolejarzy było trochę może pijanych, nie tak bardzo uważali. I to widocznie miało więcej widoków, żeby się udało przewieźć taką dziewczynkę

gdzieś… Bo ja nie miałam żadnych dokumentów. I zanim ten pan przyszedł, ja zaczęłam strasznie płakać. I powiedziałam, że ja w żaden sposób nie chcę się oddzielić. I wtedy rodzice postanowili zrezygnować i zabrać mnie, chronić mnie niby powiedzmy jako dorosłą. Teraz, jak myśmy byli w Budzyniu i zrobili tę ogólną selekcję do Płaszowa i do… nie wiem czy wiedzieli dokładnie, że to jest Majdanek, ale wiadomo było, że jak jeden jedzie do Płaszowa, to drugi chyba jedzie na jakąś śmierć gdzieś. Bo Płaszów było wiadomo jako miejsce zebrania ludzi w sytuacji pracującej. Znaczy zdolnych do pracy. Oczywiście to wszystko były plotki. Niektóre słuszne, niektóre wyssane z palca. Ale jak myśmy stali tam w tej grupie, i dlatego to połączyłam z tą poprzednią historią, rodzice powiedzieli: „My pójdziemy wszyscy razem". I tak samo siostra, która była młodą dziewczyną i pod każdym względem mogła iść do Płaszowa, postanowiliśmy wszyscy iść razem, na drugą stronę. Nie wiadomo było dokąd dokładnie, ale… I zabrali nas. Tamci pojechali do Płaszowa. Mieli swoje perypetie i swój koniec też. A nas wsadzili i wtedy to ja pamiętam już dokładnie, jak nas wsadzili do wagonów, ciasnych, zamkniętych, z drutami, z korbami i szczerbami, i psami, i z wszystkim. Zagwoździli te wagony i posłali nas. Jechaliśmy, ja myślę, że niedługo, ale ja pamiętam tę ciasnotę, ja pamiętam, że ludzie poomdlewali. Może nie zmarli tak, że… To chyba nie zabrało tyle czasu, bo jak taki pociąg jedzie, to przecież stoi również na bocznicy, bo nie chcą tak może, żeby go widzieli. To zabiera wiele więcej czasu niż zwykła trasa powiedzmy Budzyń-Lublin, która jest chyba niedaleko. I zajechaliśmy i widzieli ludzie, bo byli tacy, którzy znali trochę okolice Lublina. „My chyba jedziemy na Majdanek". No to to był koniec. To wiedzieliśmy, że jedziemy, bo wiadomo było dokładnie, że się przyjeżdża i się idzie do kąpieli i tam jest gaz. Wiedzieliśmy przecież, że Majdanek to krematoria i że ludzie zostają spaleni. Koniec. Jedziemy wszyscy razem na ten koniec.

Data i miejsce nagrania	2017-07-05, Lublin
Rozmawiał/a	Tomasz Czajkowski
Transkrypcja	Marta Tylus
Redakcja	Maria Radek
Prawa	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"